

PIOTR SALES

## TAJEMNICA FAKIRA

Druga część „Lekarza Cudotwórcy“

Tłumaczyła MARYA SEGENY.

14

— Ale ich ładnie wyprowadziłem w pole! Ani śladu tego zatabaczonego, starego rybaka! A ty mój mały, naprawdę nie dostrzegłeś nic podejrzanego?

— Droga jest zupełnie wolna! Jedziemy?

— Jeszcze nie. Przybyliśmy tutaj dopiero przed pół godziną; to za mało, żeby wytłumaczyć namiętność moją do pejzażu.

Przed pół godziny jeszcze Jan le Kerlack gorliwie się oddawał swojemu zajęciu i ciągle wzywał Lusie do oglądania jego arcydzieła. Skończyło się na tem, że Lusie musiała poprawić jego obraz, na wszelki wypadek, gdyby ktoś niepowołany nadszedł i obejrzeć chciał pracę malarza Morela. Bez tej pomocy, wiadomo do czego by był podobny pejzaż Jana le Kerlacka. Obraz teraz wyglądał wcale dobrze i gdyby jakiś agent policyjny ukryty w krzakach, śledził rodzinę Morel — mógłby tylko zdać w raporcie, że widział malarza pracującego przy współudziale córki swojej, nad brzegami Sekwany, panią Morel zajętą szydełkową robotą, a Fernandę zatopioną w czytaniu książki. Obecność młodego Gewolskiego, była całkiem naturalna, skoro uchodził za narzeczonego młodszej córki malarza.

— Zdaje mi się, panie Morel, że się już ściemniać zaczyna — zauważył po chwili milczenia Stanisław.

— To prawda — odpowiedział pan Morel, dokonczając fajkę. — Nie mogę już nawet odnaleźć stosownego koloru nieba. Masz zupełną słuszość, mój przyjacielu, porobiłbym dziwolągi, gdybym dalej pracował.

— A więc, może pan pozwoli, że odprowadzę państwa do Sannois.

— Autodemem? — zapytała Fernanda.

— Tak, autodemem. Możemy nałożyć drogi, bo wieczór ładny, a przez las Montmorency, gdzie o tej porze nikogo nie spotkamy, będę mógł puścić swobodnie maszynę.

— Ja zawsze drzę, kiedy pan jeździ tym autodemem — zauważyła pani Morel.

— Ej! bo ty to się i muchy obawiasz! — zawołał donośnie podrażniony pan Morel.

W parę minut później automobil unosił całą rodzinę w stronę lasu Montmorency i znikł wkrótce pomiędzy drzewami. Noc zapadała już, gdy maszyna dojeżdżała do Epinay i zatrzymała się przed bramą jakiegoś parku. Musiano już tu oczekiwać na przybyłych, bo prawie natychmiast brama cicho się rozwarła, automobil wjechał w obszerną aleję, skąd go z drogi ujrzyć nie było można. Stanisław pomógł paniom wysiąść, podczas gdy Jan le Kerlack oddalił się, aby zbadać okolicę.

Gdy powrócił i wszedł do zabudowania, znajdującego się w północnej części parku, zastał dyrektora zakładu, zdającego rodzinie relacje o stanie zdrowia nowego pacjenta. Był spokojny i łagodny, a troskliwe zaopiekowanie się nim doktorów, przyniosło już wielki postęp w kierunku zupełnego uzdrowienia.

— Nie miał ani jednego napadu szału — mówił radośnie dyrektor — od dwóch tygodni blisko. A przyznam państwu, że te ataki, po których następował zupełny zanik sił i władz umysłowych, z początku niepokoiły mnie bardzo. Widocznie zastosowywano mojemu choremu poprzednio złą kurację. Codziennie jednak rano dla ostrożności leczę go łagodnym tuszem i staram się wmówić w niego, że jest zupełnie zdrowym.

— A więc będziemy go mogli wkrótce zabrać do domu — zawołała uszczęśliwiona pani Morel.

— Zdaje mi się, że będzie musiał pozostać tu jeszcze jakiś czas. Uważać będę uzdrowienie za pewne i stałe wtedy dopiero, kiedy zniknie w nim ta mania utrzymywania, że jest kilkoma osobami naraz. Bo dotąd wierzy, że jest rzeczywiście w moim zakładzie otoczony najtroskliwszą opieką, a wprawia w nas wszystkich, że sobowtór jego więziony jest i dręczony w innym zakładzie. Sądzę jednak — dodał dyrektor, zwracając się do Jana le Kerlacka — że jest w stanie bezpiecznie znieść wstrząśnienie, którego dozna, ujrawszy rodzinę, a kto wie, może to będzie dla niego decydująca chwila. Wszystko jest przygotowane w pawilonie, tak, jak pan sobie życzył.

Po chwili rodzina Morel znajdowała się w małym domku, otoczonym starymi drzewami, przypominającym bardzo domek w Sannois.

Pani Morel i jej córki, pomimo uspakajających zeznań dyrektora, wzruszone były i niespokojne.

— Zobaczycie, że się pogniewam na was — burezał Jan le Kerlack. — Należy nam wszystkim zachować zimną krew! Później, w domu, możecie sobie pozwolić na żale, ale nie tu, w takiej chwili!

Lecz jakże nieszczęśliwe kobiety mogły zapanaować nad wzruszeniem, kiedy wszystko w tym domu przypominało im tak żywo otoczenie, w którym tyle lat szczęśliwie przeżyły aż do dnia strasznej katastrofy! Nawet ten fatalny wodotrysk i basen kamienny wznosił się na gazonie przeddomem, urządzony na żądanie Jana le Kerlacka. We wnętrzu domu, była jadalnia, tak, jak w Sannois; w jednym rogu stało pianino otwarte, a w drugim okrągły stół i głęboki fotel, w którym zwykle siedział pan Morel, paląc fajkę po obiedzie.

— Jest pan pewnym, że nie był tu jeszcze, i nic nie widział? — zapytał Jan le Kerlack dyrektora.

— Ten pawilon jest zazwyczaj niezamieszkały; odłączyłem go od parku baryerą i starałem się usilnie w ostatnich dniach, aby pan Morel nie podchodził w tę stronę. A więc teraz go przyprowadzę?

— Jeszcze chwilę, kochany dyrektorze; chcę, żebyśmy wszyscy odzyskali przedtem trochę równowagi i zimnej krwi.

Dyrektor oddalił się, a Jan le Kerlack, uściskawszy serdecznie bratową i siostrzenicę, błagał raz jeszcze o zachowanie spokoju. Stanisław zaś, blady, lecz pewny siebie, szeptał coś cicho do ucha Lusie. Gdy w jakiś czas później na ścieżce prowadzącej do pawilonu rozległy się kroki dyrektora, wszystko pozorując w tej zacisznej jadalni przypominało dawne, miłe wieczory spędzone w Sannois.

Pan Morel wszedł do ogrodu swobodnym, zwykłym krokiem, jakgdyby wracał z przechadzki po mieście. O kilka metrów od wodotrysku zatrzymał się.

Z okna pokoju widziano, jak przecierał ręką oczy i odrzucał z czoła kapelusz filcowy o szerokich brzegach. Równocześnie podszedł do niego dyrektor mówiąc:

— Znajdę tu pana za chwilę... teraz proszę pozostać z rodziną.

Dreszcz przebiegł pana Morel... uczynił ruch, jakgdyby uciekać chciał za dyrektorem, lecz tenże odezwał się serdecznie, lecz stanowczo:

— No, dalej! idź-że pan! Czekają na pana!

Ociągając się trochę, pan Morel wszedł do pawilonu. Żona i córki chciały się rzucić na jego spotkanie, lecz Jan le Kerlack powstrzymał je energicznie:

— Niech nikt nie zapomina o swojej roli! tak jak to ułożyłem!

Poczem cofnął się szybko do przyległego pokoju. Wtedy odezwała się głośno Lusie:

— Zdaje mi się, że ojciec już wraca.

I uchyliła lekko drzwi do przedpokoju: pan Morel, który już się tam znajdował, zamknął starannie drzwi, prowadzące na ganek i zobaczył Lusie, podchodzącą swobodnie do niego, z robotką w ręce, podczas kiedy pani Morel podnosiła głowę z nad książek rachunkowych, zajmujących ją dotąd i uśmiechała się serdecznie do męża; Fernanda zaś, porzucając także czytana książkę, szła powoli na powitanie ojca. Stanisław, uderzwszy jeszcze kilka akordów, zamknął pianino i zbliżył się do pana Morela, podając mu rękę.

Pan Morel już chciał się pochylić i jak zwykle pocałować Lusie w czoło, gdy nagle odsunął ją od siebie, odrzucając także rękę Fernandy i Stanisława. Chwilę rozglądał się po pokoju i szepnął:

— Ależ to Sannois!... To nasz pokój jadalny!

— Jeszcze nie całkiem — odrzekła pani Morel powstając. — Ale wkrótce powrócisz już do nas, do Sannois! Ale skoro zechciałeś się oddalić od nas na czas jakiś, przenieśliśmy tu ulubione twoje rzeczy!

— Ja chcę natychmiast powrócić do Sannois! — zawołał gwałtownie pan Morel.

Wszyscy zadrżeli; czyżby ta scena, którą wykonali w gorącej nadziei, że stanie się zbawiennym wstrząśnieniem dla osłabionego umysłu chorego, wywołać miała ostateczny i niewyleczalny już atak szału?

Pan Morel nieprzytomnym spojrzeniem spoglądał po obecnych, wołając dalej gniewnie:

— Kiedyż więc będę mógł powrócić do Sannois, skoro nie ukończyłem jeszcze kaplicy Sykstyńskiej, a potem przecież oczekują mnie w Indyach, gdzie zarobić mogę miliony! Będiesz mieć milion, dwa, trzy miliony posagu, moja Lusie. Stworzyłem dziś

dzieło, z tej miniatury, którą przyniosłaś mi od księcia. O! patrz!

Wyciągnął z pod ubrania pudełko, w którym znajdował się niewielki szkic na drzewie, jeden z tych, które Lusie odnosiła po odnowieniu księżniczce Kicie.

Widok tych malowideł działał uspakajająco na chorego.

— Czy zrobiłaś te zdjęcia fotograficzne w muzeum Guimet, Lusie!

— Oto są, ojczel — odpowiedziała donośnym głosem młoda dziewczyna.

Wtedy pan Morel usiadł swobodnie w fotelu swoim przy stole, kazał Lusie przybliżyć lampę i wpatrzył się ciekawie w porobione odbicia.

— Możesz, mój kochany Stanisławie, powiedzieć ojcu, że moja córka będzie miała sto milionów posagu — rzekł patrząc dumnie na młodego człowieka.

— A ty — zwrócił się do żony — już nie będziesz psuła oczów, naprawiając naszą bieliznę i robiąc niedorzeczne rachunki z kucharką o brakujące parę centimów.

Na widok fajki, przygotowanej przez Fernandę, twarz pana Morela rozjaśniła się.

— Więc spędzam dziś wieczór w Sannois? — zaśmiał się. — Bardzo jestem z tego uszczęśliwiony! Nałożył fajkę i zapalił.

— Stanisławie — rzekł po chwili — zagraj no walca z „Wesołej wdówki“. Wszędzie się ją słyszy, to prawda, ale zawsze go lubię!

Stanisław usiadł przy pianinie i wypełnił żądanie starego przyjaciela, choć lzy napływały mu do oczów. Czy mógł teraz mieć nadzieję w zupełne wyzdrowienie pana Morela? a przecież wielka nadzieja wstąpiła do jego duszy, gdy zobaczył, jak starannie i artystycznie malarz odnowił miniatury księżniczki Kity!

Stanisław grał jeszcze, gdy pan Morel zawołał rozdrażniony:

— Co za nieszczęście, że słyszeć mogę tylko przez połowę i że ty, Stanisławie, nie możesz pójść zagrać tego walca tam, gdzie mieszkam ze swoim sobowtorem. Ciekaw jestem; co też on robi w tej chwili? Czy widzi nas? Czy słyszy? Jak on musi być nieszczęśliwy!

Nagle pan Morel zerwał się z fotelu i wniósł groźnie obydwie ręce, jak gdyby broniąc się przed napaścią:

— Strasznie się źle z nim obchodzą — krzyczał wściekle. — Mówią, że jest szkodliwy! No, powiedzcie, czy ja mogę być szkodliwym? Czy byłem kiedy niedobrym dla was? A przecież nakładano na niego kaftan bezpieczeństwa! Męczono pod okropnymi tuszami!

— Ależ, mój drogi — usiłowała tłumaczyć pani Morel, której wzruszenie już siły odbierało — jesteś z nami, cały z nami! Sobowtóra twojego zabraliśmy ze sobą.

Przybliżyła się do niego i łkając cicho, pieszczotliwie przesuwając ręką po jego rozpalonym czole. — Jesteś przecież z nami!... Chciałeś na jakiś czas wydaląć się z domu... pamiętasz? Zdarzało ci się to niekiedy już dawniej. Chciałeś zapewne zobaczyć dawnych kolegów, pomówić z nimi o sztuce — i zachorowałeś w drodze!

— Ah! tak... tak... zachorowałem w drodze!... Co to mi było? Moja biedna głowa!... tak, to prawda!... Ale to już przeszło, prawda?

— Tak, przeszło, bo jesteś już między nami, i już zacząłeś nawet pracować, jak dawniej! Kiedy się poczujesz całkiem już silnym... powrócisz do nas, do Sannois, tyle zamówień na twój powrót oczekuje! Może nie zyskasz przy nich milionów, ale...

Morel przerwał żonie niecierpliwie:

— Ty sobie nie możesz wyobrazić, jak wielkim może być majątek takiego księcia!

Dłuższą chwilę rozmawiał Morel z rodziną przytomnie i rozsądnie, lecz znowu niepokoił ich nagłymi przeskokami i brakiem logiczności w słowach.

— Jakże ja będę mógł pogodzić to wszystko razem? Indyje i papieża? Papież gotów pogonić za mną! I uchwycić! Żebyś ty go widziała drapiącego się po rusztowaniach kaplicy Sykstyńskiej!... Czy wy sobie wyobrażacie, że można stworzyć arcydzieła w piętnastu dniach. Co to? słyszycie? Czy to po mnie ktoś idzie?

Rozległo się pukanie do drzwi pawilonu i zaraz w drzwiach pokoju stanął służący z papierem w rękę.

— Telegram do pana Morel!

Lusie podeszła i odebrała papier.

— Telegram! dla mnie? — szepnął zdziwiony malarz.

Było to dla niego wrażenie niezwykle i nowe.